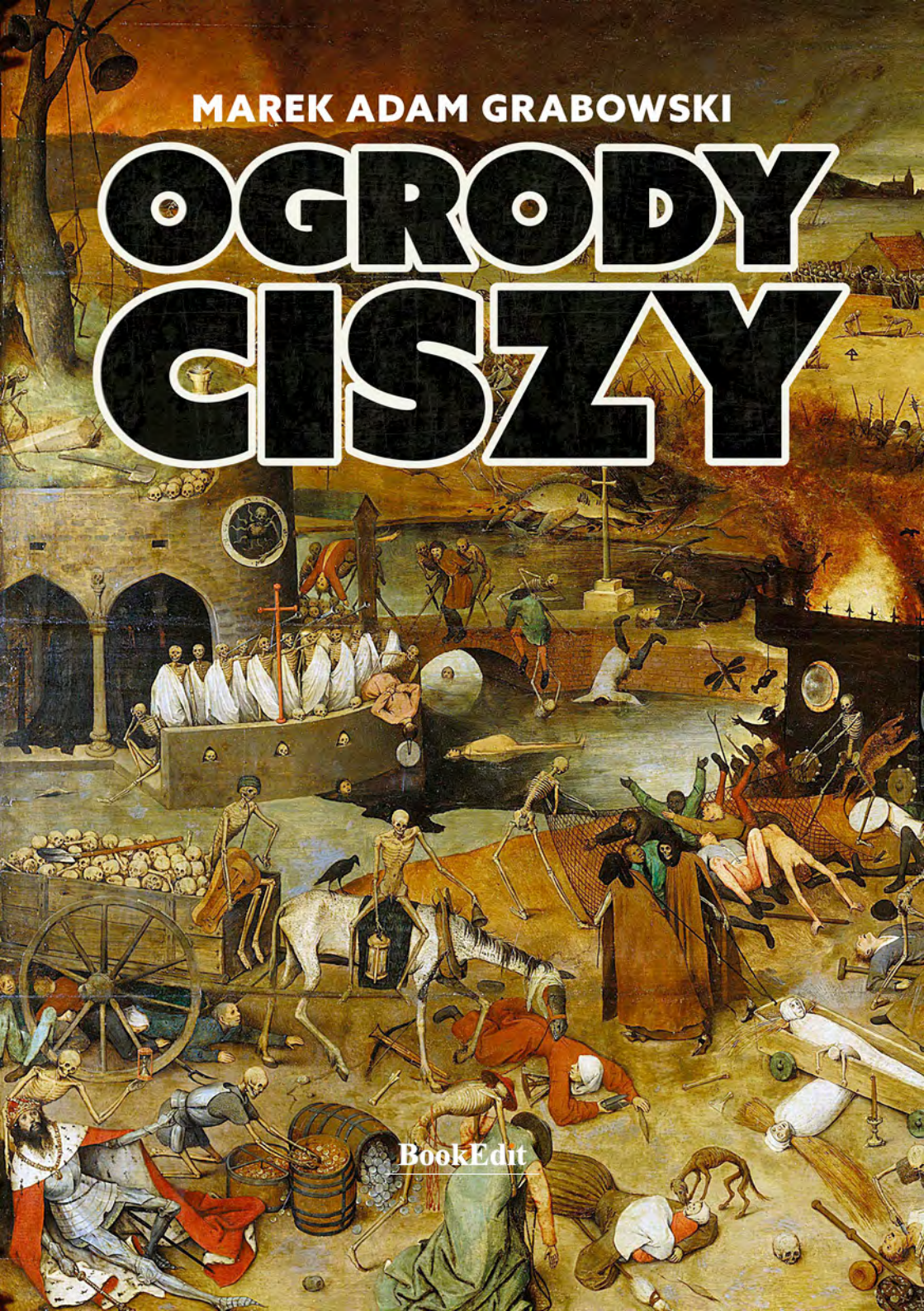


MAREK ADAM GRABOWSKI

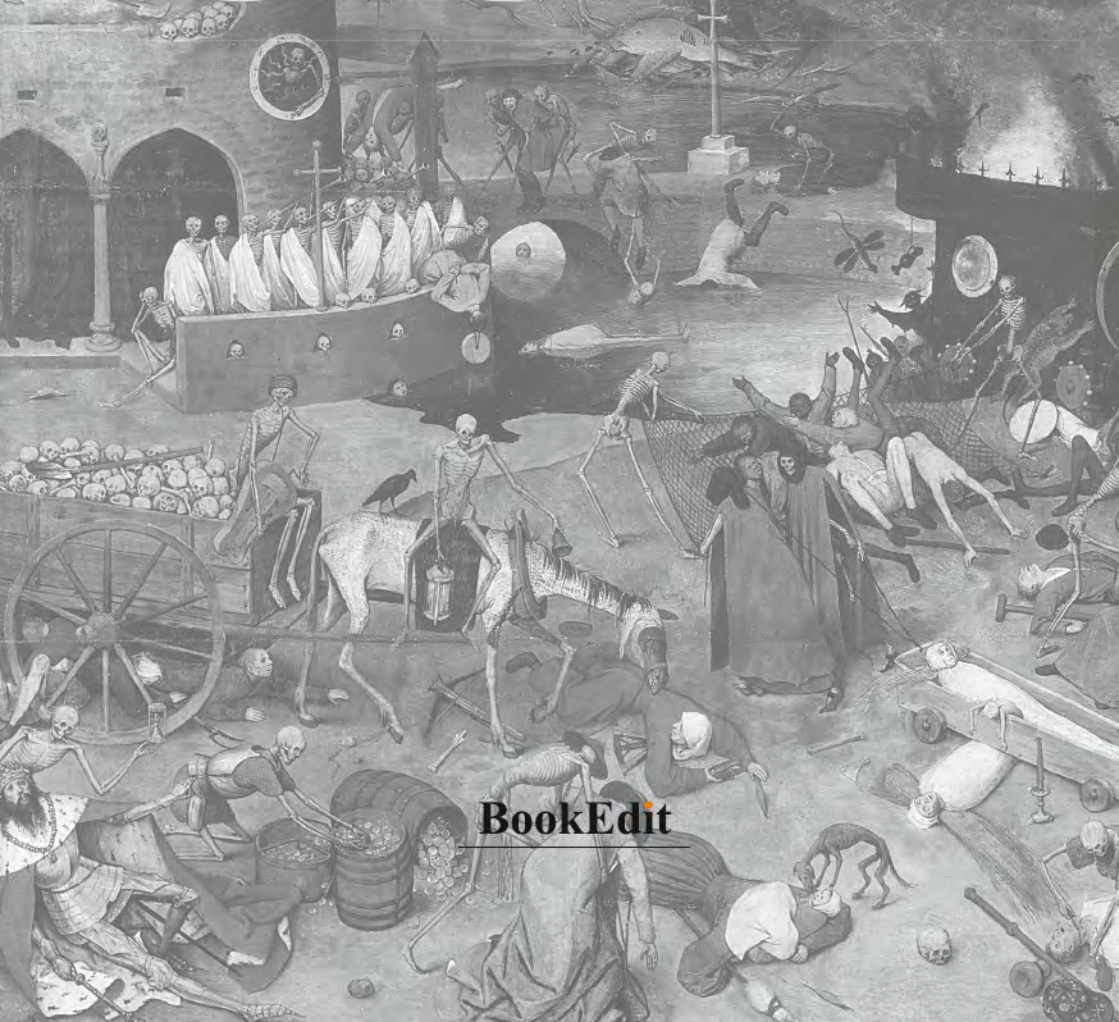
OGRODY CISZY



BookEdit

MAREK ADAM GRABOWSKI

OGRODY CISZY



BookEdit

Copyright © Marek Adam Grabowski, 2023

Projekt okładki: Dawid Duszka

Ilustracja na okładce: Pieter Bruegel Starszy obraz *Triumf śmierci*/
Wikimedia Commons

Redakcja: Magdalena Ceglarz

e-book: JENA

ISBN 978-83-67539-83-8

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

„Większość z nas spostrzega zło jako realnie istniejącą właściwość, która występuje u niektórych ludzi, a u innych nie. (...)

Utrzymanie dychotomii Dobro-Zło pozwala (...) zdjąć z «dobrych ludzi» brzemień odpowiedzialności”.

Philip Zimbardo
„Efekt Lucyfera”

ROZDZIAŁ I

– Wejść! – powiedział zza biurka Orfeusz.

Drzwi się otworzyły i barczysty strażnik wprowadził do pokoju numer 812713. Wprowadzony był podobny do wszystkich, to znaczy chudy, zgarbiony i wystraszony na twarzy.

– Proszę usiąść – rzekł uprzejmie Orfeusz.

Numer 812713 usiadł naprzeciwko niego, a strażnik wyszedł. Regulamin wyraźnie mówił, że tego typu rozmowy muszą się odbywać na osobności.

– W czym problem? – zapytał Orfeusz.

Numer początkowo nie potrafił sformułować odpowiedzi. Zamiast mówić, wodził chaotycznie oczyma. W końcu się odezwał.

– Ja się boję...

– Ale czego? – Orfeusz musiał dopytać. – Przecież tutaj jesteś w pełni bezpieczny.

– Tylko ja się nie boję tego, co jest, ale tego, co będzie – wyjaśnił numer. Orfeusz spojrzał mu prosto w oczy.

– Czyżbyś się bał swojego przeznaczenia, swojej roli?

– Dokładnie tak – wykrztusił ledwo z siebie numer.

– To typowe. – Orfeusz, mówiąc to, nadal patrzył na niego swoimi błękitnymi oczyma. – Strach jest zawsze, kiedy idziemy ku jakiemuś celowi. Jest tym większy, jeśli cel jest słuszniejszy. Nie boimy się tylko przy ucieczce. Ja również się bałem, zanim tutaj przyszedłem. A teraz uwielbiam moją pracę.

Była to forma zwierzenia się, jednak 812713 wydawał się nieprzekonany.

– To chyba nie są podobne sytuacje.

– Wszystko jest z pozoru inne, a naprawdę podobne – wyjaśnił mu Orfeusz. – Chyba już wiem, czego ci potrzeba. Zaraz zrobimy psychotest, właściwie to psychogrę.

Zabawa trwała kilkanaście minut. Gdy była już skończona, numer wyglądał na zadowolonego. Nawet zaczął się lekko uśmiechać. To nie jest w tym miejscu częsty widok. Nic dziwnego, że Orfeusz był bardzo usatysfakcjonowany.

– Widzę, że ci ulżyło.

– Tak, ale nie wiem, na jak długo – odparł 812713.

– W pracy nad sobą nie chodzi o to, by problemy przeminęły bezpowrotnie, lecz by umieć je zwalczać przy nawrotach. – Powiedziawszy to, Orfeusz wezwał strażnika.

Ten szybko przyszedł i wyprowadził 812713. Teraz psycholog był sam w pokoju. Spojrzał na wiszące na ścianie godło, czyli orzełka, i powiedział do samego siebie:

– Na razie go uspokoiłem, ale to ciężki przypadek. Będzie z nim dużo pracy. Ku chwale Ojczyzny!

*

Minęło kilka godzin. Orfeusz spoglądał przez okno swojego mieszkania na tonące w wieczornym mroku bloki. Wszystkie były identycznymi prostokątami. Nagle usłyszał dźwięk otwierających się drzwi. Arete wróciła – pomyślał. Po chwili jego żona weszła już do pokoju. Jej szpilki mocno stukwały o posadzkę – to najmodniejsze buty, z wielkimi obcasami. Obuwie tego dnia bardzo mocno świeciło. Orfeusz musiał to skomentować.

– Widzę, że wypastowałaś je w dereżu.

– A jasne! Produkty z dereżu są zajebiste! – Powiedziawszy to, podeszła i pocałowała męża w usta.

– Znów późno wróciłaś.

– Byłam z Penelopą na lodach, pod pomnikiem króla, twojego bohatera.

– Król jest bohaterem nas wszystkich – poprawił żonę. – Byłaś tam do zmroku?

– Nie, potem odwiedziłam Penelopę w jej mieszkaniu – odparła, rumieniąc się. – Zapomniałabym, po drodze zapaliliśmy gromnicę w świątyni Neptuna i dałyśmy tam ofiarę z kilku drachm za duszę jej zmarłej matki, żeby odpoczęła na Polach Elizejskich – dodała.

– Chyba Posejdoma? – Orfeusz zmarszczył jasne brwi. – Nie wyskakuj mi tutaj z łaciną!

– Wszystko jedno, jak nazwiemy Boga, ja i tak nie wierzę w te dewocyjne paplaniny. Każdy jest zbawiony z automatu, a modlitwa jest dla ludzi, nie bogów. Zrobiłam to tylko dlatego, że mnie prosiła – wyśmiała uwagę Arete. Zmieniła temat. – Jak tam w pracy? Pomogłeś komuś?

Orfeusz włożył rękę do kieszeni i dumny z siebie powiedział:

– Codziennie komuś pomagam. Ale jak wiesz, nie mogę ci podać szczegółów, bo to tajemnica zawodowa.

– Ty to masz tam fajnie, ja się nudzę, oglądając i przekładając te głupie papierki. – Po tych słowach pogłaskała go po policzku i odwróciwszy się, powiedziała: – Idę obejrzeć naszego synka!

Podeszła do stolika, na którym leżała biała poduszka, a na niej Słoiak Życia z embrionem.

– Hej, mały, może pobawimy się w trzęsienie ziemi? – Po tych słowach zaczęła trząść słojem, jednocześnie śmiejąc się do rozpuku. Orfeusz podszedł do niej i w milczeniu obserwował tę całą bezużyteczną czynność. Widząc to, Arete odezwała się do niego: – Fajna zabawa, co nie? Na pewno nasz synek czuje się teraz bosko!

– A co on może czuć? – odburknął bez entuzjazmu Orfeusz. – Przecież on nie ma żadnych zmysłów, jak więc może cokolwiek czuć?

Gdy wypowiadał słowo „on”, sam nieco się zawahał. Miał bardzo duże wątpliwości, czy kilka komórek można nazywać takim słowem.

Słyszając to, żona skarciła go:

– Co ty chrzaniysz? Jak żyje, to musi coś czuć! Kleopatra mówi, że on ma teraz od tego bóle i wymioty, ale ja wiem, że pieprzy głupoty! Każdy synek uwielbia zabawy z mamą! – Na chwilę zamilkła, potem podrapała się w nos i zapytała: – Nie powinniśmy mu wymyślić jakiegoś imienia?

Orfeusz się skrzywił.

– Daj spokój, imiona mają dzieci już urodzone!

Na tym rozmowa się zakończyła.

Orfeusz znów podszedł do okna. Na swój sposób był zadowolony. Miał wszystko: mieszkanie, cudną żonę, syna i misję, którą pełnił dla ojczyzny.

ROZDZIAŁ II

Był poranek. Powietrzne metro jechało nad miastem. Orfeusz i Arete siedzieli w wagonie lekko do siebie przytuleni i patrzyli na widoki zza szyb. Dużo jednak nie widzieli, gdyż zarówno bloki, jak i budynki rządowe były nieco zakryte przez mgłę. Inna sprawa, że i tak znali już te budowle na pamięć. Więcej ciekawego mogliby zobaczyć, gdyby rozglądali się po wagonie, gdyż znajdował się w nim cały przekrój społeczeństwa. Tylko nieliczni siedzieli, większość stała. Ponieważ Orfeusz jest oficerem służb mundurowych, zawsze zwykli obywatele muszą mu (i jego żonie) ustępować miejsca siedzące. Jak zwykle, jadąc do pracy, ubrany był w swój czarny mundur. Arete zaś miała na sobie granatowy płaszcz i beret – również granatowy. Wystawały spod niego jej blond włosy.

– Misiu, powiedz, czy kochasz mnie bardziej niż ojczyznę?

– Co za debilne pytanie! – skrzywił się Orfeusz. – Jak to można porównać?! Czym innym jest miłość do osoby, a czym innym miłość do abstrakcyjnego bytu.

Wyjaśnienie nie pomogło.

– Ojczyzna wcale nie jest abstrakcyjna – broniła się Arete. – Tworzą ją ulice, podatki, policja, urzędy, muzea i tak dalej.

Orfeusz zakrył twarz.

– Słuchaj, podczas zaprzysiężenia na oficera ślubowałem, że będę gotów oddać życie w obronie ojczyzny. Natomiast na ślubie również obiecałem być gotów oddać życie w obronie żony. Niech ci wystarczy, że kocham ciebie bardziej niż własne życie.

– To przynajmniej – Arete była nieustępliwa – powiedz, czy kochasz mnie bardziej niż naszego syna? Jemu nic nie obiecywałeś podczas naszego seksu.

Słyszając te słowa, przestał patrzeć na żonę. Uciekł wzrokiem na podłogę pociągu. Właściwie to nigdy się nad tym nie zastanawiał. W sumie to z synem miał słaby kontakt. Co go mogło naprawdę obchodzić kilka komórek pływających w cieczy? Żona natomiast była stale przy nim. Ona mu gotowała obiad, chodziła z nim pod rękę i budziła go pocałunkiem na początek dnia. On ją przytulał, klepał po pupie i opowiadał jej bajki. Nawet jak się kłócili, to ta kłótnia była w istocie wyrazem miłości. Naprawdę nie byli osobnymi bytami, byli jednością.

– Kocham cię bardziej.

Uradowana Arete, słyszając to, pocałowała go w policzek.

– Dzięki, jesteś super! – mówiła bardzo szybko. – Ale wiesz, ja chyba jednak bardziej kocham dziecko od ciebie. Synki są dla mamus najważniejsze. Ty nigdy nie byłeś w mojej macicy.

– Długo to on tam nie był. Szybko go wyjęłaś i zamknęłaś w Słoiku Życia. Ale kochaj, kogo chcesz. Ty mi na ślubie nie obiecywałaś ochrony, ta przysięga dotyczy tylko mężów – odpowiedział Orfeusz bardzo nieprzyjemnym tonem.

Rozmowa zaczynała go irytować. Żona na szczęście postanowiła mu odpuścić.

– Dzisiaj odwiedza was minister? – spytała retorycznie, gdyż znała odpowiedź.

– Oczywiście. To będzie pierwsza wizytacja od pół roku. Jego przemówienie będzie krótkie, ale cała uroczystość potrwa kilka godzin.

Żona podrapała go swoimi delikatnymi paznokciami po przedziałku, który był ledwo widoczny pośród bujnych blond włosów.

– Ależ ja jestem z ciebie dumna! – szepnęła mu do ucha.

Po chwili był jednak jej przystanek, musiała więc szybko wstać i wysiąść. Przepychała się przy tym łokciami i krzyczała:

– Z drogi, głupie ludzie, pani kapitanowa wysiada!

Orfeusz przejechał jeszcze dwa przystanki. Potem wysiadł i zjechał windą na dół. Był już przed miejscem swojej pracy, gdzie na olbrzymim, szarym murze wisiała tabliczka z napisem:

„Ogrody Cizy – humanitarny obóz koncentracyjny nr 4”.

Nadeszło południe. Promienie słońca oświetlały obozowy dziedziniec. Cała załoga siedziała wpatrzona w podwyższenie, z którego przemawiano. Właśnie miał być punkt kulminacyjny – wystąpienie ministra do spraw ludobójstwa. Gdy wkroczył na scenę, wszyscy powstali. Był to łysy, barczysty mężczyzna ubrany w mundur. Wyglądał dumnie przy mównicy i na tle orzełka.

Zaczął przemówienie:

– Pozdrawiam wszystkich funkcjonariuszy obozu koncentracyjnego! Z dumą mogę powiedzieć, że każdy z was, od szeregowców do naczelnika, jest częścią najważniejszych jednostek w naszym państwie! Macie zaszczytną misję do wykonania; misję eksterminacji części społeczeństwa! Jest to trudne i odpowiedzialne zadanie, ale wykonanie go jest niezbędne dla dobra ogółu! Najważniejsze jest tutaj to, że nie chodzi tylko o dokonanie ludobójstwa, chodzi również o wykonanie tego we właściwy sposób! Nigdy nie zapomnijcie o tym, co jest najważniejsze podczas ludobójstwa! Prawa człowieka! – Na chwilę zamilkł. – Czasy, w których przyszło nam żyć, osiągnęły szczyt humanizmu! Przez wieki najokrutniejsi tyrani dokonywali okropnych rzezi. Dokonując ludobójstw, nie patrzyli na dobro eksterminowanych. Oczywiście, zdarzały się próby dokonania tego w łagodniejszy sposób, przykładem może być tutaj chociażby eksterminacja Indian, ale nawet w tym wypadku nie było większych postępów. W końcu jednak pojawił się wizjoner, ktoś, kto spojrzął na problem inaczej! Tym kimś był król Leopold II. Jako pierwszy wiedział, że eksterminowani ludzie mają swoje prawa! Trzeba ich zabić tak, ażeby nie zrobić im przy tym przykrości! Niestety, świat poszedł w innym kierunku! Okropieństwo barbarzyńskich czynów Hitlera, Stalina czy Mao Zedonga przeraża nas do dzisiaj! Jednak duch króla Leopolda odrodził się z czasem! To jest właśnie wasza misja; macie ich wszystkich zabić, ale tak, żeby było to dla nich dobre! I pamiętajcie, zabijamy tylko tych, dla których lepiej jest nie żyć! Wiwat prawa człowieka! Ku chwale Ojczyzny! Niech Zeus, Posejdon, Hades i inni bogowie błogosławią wam!

Po tych słowach wszyscy zaczęli klaskać. Orfeusz należał do tych, którzy robili to najgłośniej. Wpatrzony w ministra stojącego na tle orzełka był pewien, że bierze udział w czymś wielkim.

Minęło kilka godzin. Orfeusz siedział w swoim gabinecie, mimowolnie i właściwie bezrefleksyjnie przeglądając własne papiery. Był przekonany, że tego dnia nie będzie miał żadnych pacjentów, ponieważ takie rozmowy nie odbywały się podczas wizytacji. Wprawdzie nie były oficjalnie zakazane, ale każdy funkcjonariusz wie, że najważniejsze prawa to te niespisane. Nagle ku swojemu zaskoczeniu zobaczył, że lampka nad drzwiami się zapaliła. Był to znak, że ktoś przyszedł. Kolor światła był błękitny, a to wskazywało na naczelnika. Bynajmniej nie był to częsty gość.

Orfeusz szybko podbiegł do drzwi i je otworzył. Na korytarzu stał naczelnik razem z ministrem, żoną ministra – Messaliną, i eskortą. Był też wiecznie zgarbiony szef wychowawców Euklides Gaja. Teraz kiedy naczelnik stał przy ministrze, widać było, jak bardzo ten pierwszy jest niepozorny, wszak to chudy i niski facet. Żona ministra ubrana była w sięgające niemal do ziemi futro i czarny kapelusz, spod którego wystawały jej hebanowe włosy, a na nogi włożyła wysokie szpilki. Miała jasną cerę, wielkie zielone oczy i mocno pomalowane na czerwono usta. Szminkę zapewne zrobiono z dereżu. Byłaby to ładna kobieta, gdyby nie miała tak dużego nosa.

– Ku chwale Ojczyzny! Proszę wejść. To dla mnie zaszczyt – przywitał się Orfeusz.

– Panie ministrze, to jest kapitan Orfeusz Apeiron, nasz obozowy psycholog i terapeuta. – Naczelnik powiedział to, co prawdopodobnie minister już wiedział. – Orfeuszu, pan minister chciałby pomówić z tobą na osobności.

– Jak mógłbym odmówić – odparł, gdyż w istocie nie mógł tego zrobić.

– Kochanie, opuścisz nas na chwilę? – grzecznościowo zapytał minister.

Pani ministrowa kiwnęła głową i razem z naczelnikiem, szefem wychowawców i strażnikami odeszła.

Mężczyźni zostali już sami i usiedli po obu stronach biurka.

– Ciekawe imię, Orfeusz – zaczął rozmowę minister. – Ale chyba nie zamierza pan przystąpić do Orfików?

– Do tych czubków, którzy czczą Boga Dionizosa poprzez dziwną muzykę i tańce?! Nigdy w życiu! – Orfeusz potraktował tę uwagę jako żart.

– Ładny ten pański gabinet – zmienił temat minister. – Jednak zupełnie nie przypomina tego, w którym przyjmował Freud.

– To prawda – zaśmiał się Orfeusz. – Kiedyś wydziwiano z tymi gabinetami. Nikt nie przyjmował pacjentów przy biurku. Obóz koncentracyjny ma jednak swoją specyfikę.

Minister wziął bez pytania oprawione zdjęcie Arete. Przyjrzał się chwilę i powiedział:

– To jak mniemam pańska żona? Cudna!

– Dziękuję, ale myślę, że jej słodycz to nic przy dojrzałym pięknie pańskiej małżonki – skłamał Orfeusz. Tak naprawdę zawsze wolał młodsze i bardziej niewinne kobiety. Poza tym pani ministrowa miała ten swój nochal.

Trudno powiedzieć, czy minister dał się nabrać, ale na pewno sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Macie dzieci? – spytał.

– Syna – wyjaśnił Orfeusz. – Trzy lata temu żona zaszła w ciążę, ale wolała przenieść dziecko z macicy do Słoika Życia. Na razie nie planujemy dokończyć tej ciąży.

– Nie musicie się spieszyć. Embriona zawsze można z powrotem włożyć do brzucha – śmiał się minister, po czym dodał: – Moja żona urodziła dwie dziewczynki i jednego chłopca, dwóch chłopców umieściła w Słoiku Życia, jednego chłopca abortowała, trzy wyprodukowane dziewczynki zamówiła.

– No, to niezłą gromadkę ma pan w swoim pałacu. Nie pomieściłaby się w moim mieszkaniu. Pańska żona pewnie nie pracuje? Moja jest urzędniczką.

Minister parsknął śmiechem.

– To zależy, jak pan definiuje pracę! Pobiera pensję żony ministra. Natomiast co noc w łóżku zdaję Messalinie pełny raport i powierzam tajemnice państwowe. Pytam ją wówczas, co zrobić w konkretnych sytuacjach. Właściwie to ona podejmuje ponad połowę ważnych decyzji. – Na chwilę zamilkł. Orfeusz czuł, że minister jest bardzo sympatyczny w tej swojej zahaczającej o bezczelność bezpośredniości. Potem, śmiejąc się jeszcze mocniej, minister powiedział: – Ale oczywiście całą odpowiedzialność prawną ponoszę ja!

– Niby tak, ale jakoś żona nie towarzyszy nam w tej rozmowie. – Orfeusz chciał się trochę podroczyć.

Minister zarumienił się i rozłożył ręce.

– No tak, takie rozmowy trzeba prowadzić na osobności!
Obydwaj rozumieli, że teraz trzeba zostawić sprawy rodzinne i porozmawiać o służbie wobec ojczyzny.

Minister spojrzał prosto w oczy Orfeusza i już cichym głosem zapytał:

– Czy pańska praca jest ciężka?

– Na początku była, ale teraz wszystko mi wynagradza świadomość, ilu ludziom pomogłem.

– Widzę, że jest pan bardzo empatyczną osobą.

Gestem otwartej dłoni Orfeusz zaprzeczył.

– Nie nazwałbym tego empatią. Nie mogę się zbyt wczuwać w sytuację podopiecznych, gdyż to by mnie wykończyło. Oczywiście nie mogę być też beznamiętny jak głaz. Trzeba wyważyć proporcje.

– Ale czy oni wszyscy chcą umierać? – częściowo zmienił temat minister.

– Niektórzy na początku nie chcą. Wielu z nich myśli, że dla nich życie jest tak samo dobre, jak i dla nas. Ale każdemu można wytłumaczyć, że zabijamy go tylko dla dobra jego samego.

– Właściwie to również dla dobra ojczyzny – poprawił go minister. Jego głos był teraz donośniejszy niż przed chwilą, ale i tak cichszy niż na początku rozmowy. Potem miło się uśmiechnął. – Nie ma co owijać w bawełnę. To nie przypadek, że odwiedziłem właśnie pana, a nie innego terapeutę. – Zamilkł, chyba tylko po to, żeby zobaczyć reakcję Orfeusza. Ten zaś był coraz bardziej zainteresowany. – Ponoć ma pan najwyższe wyniki pomocy numerom w całym Ogrodzie Ciszy – doprecyzował minister.

Orfeusz oniemiał, słysząc te słowa. Poczuli się wzorem obywatela. To było tak samo piękne, jak i niewiarygodne.

*

Ciąg dalszy dostępny w pełnej wersji książki.